№ 7.

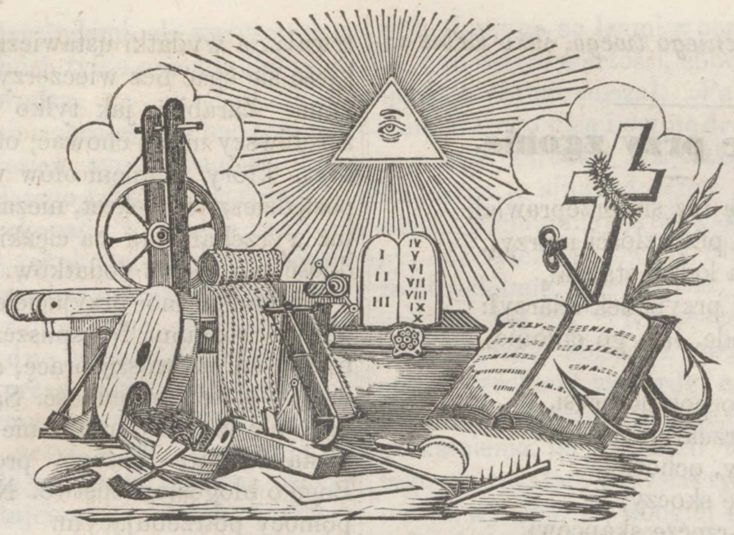
Warszawa.

D. 5 (17) Lutego.

1856.

Niedziela

2a POSTU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaśjuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, który widzisz jak z siebie samych słabymi jesteśmy; racz nas strzedz wewnątrz i zewnątrz, abyśmy od utrapień na ciele byli zachowani, i od złych myśli w duszy zostali uwolnieni. (Modlitwa kościelna na Niedzielę 2gą postu).

Piękny przykład poświęcenia.

Trzy lata temu, gdy w Galicyi, w Krościenku, w obwodzie Jasielskim, dnia 18 listopada 1852 roku, wybuchł straszliwy pożar, i odrazu ogarnął płomieniem dworskie stodoły i budynki z całym zasobem gospodarskim.

Pożar na wsi jest groźniejszy zawsze, niż w mieście: bo ogień łatwo się rozszerza po dachach słomianych i ścianach drewnianych, i na pomoc niema tyle rąk gotowych i sposobów, jak w mieście, aby przytłumić płomienie.

To też w Krościenku rozpacz ogarnęła dziedziców, gdy pożar wybuchnął, i coraz wśród kłębów dymu chwytał budynki, zamieniając w popiół. Aleć Bóg, gdy dotknie srogą klęską, to i pomocy nie odmówi w nieszczęściu. Gromada wiejska na pierwszy okrzyk trwogi, zbiera się razem i biegnie na ratunek, a na jéj czele śpieszył Stanisław Olbrecht, kmieć z Krościenka. Za jego przewodem jedni rzucają się śmiało w zajęte płomieniem budowle, i ratują inwentarz i sprzęty, drudzy zasiedli na dachach dworu, stajni i obory, nie dając przystępu pożarowi.

Ogień trwał przez noc całą, i przez dzień cały następny, zanim dzielną pomocą gromady potłumionym został. Kiedy dziękowano Bogu za szczęśliwy ratunek, spostrzeżono, że braknie najdzielniejszego obrońcy, Stanisława Olbrechta. Zacny ten kmieć, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, padł ofiarą swego poświęcenia.— Ciało jego osmalone leżało pod niedopaloną belką z zapadłego dachu. I państwo z Krościenka, i gromada cała, otoczyła martwe zwłoki szlachetnego człowieka, co padł, jak mężny żołnierz na polu chwały, i z płaczem modlili się za jego duszę. Gromada zasmucona bolesnym zgonem Stanisława Olbrechta, nie poprzestała na dzielnéj obronie, ale po krótkiéj naradzie, wszyscy pospieszyli do domów, aby zasobami gospodarskiemi wspomódz nieszczęśliwe w pogorzeli państwo. Kmiecie i gospodynie, ci siano, słomę i owies dla pozostałego inwentarza, a ziarno na chleb: te drób, masło i co było w chacie, ochoczo znosili. Z płaczem wdzięczności przyjmowało państwo te dary, z ręki zacnych i pracowitych włościan, co nie pożałowali, tak krwi swojéj jak i mienia swego, na ratunek bliźnich, wedle przykazania Bożego: „*bę-*

dziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego."

Skąpiec przy zgonie.

Skąpiec przez rzekę raz się przeprawiał;
I gdy o zyskach w przyszłości marzył,
I gdy już zamki na lodzie stawiał,
Nieszczęsny mu się przypadek zdarzył:
Wpadł nagle w wodę, fala go chłonie,
I tonie.
„Ratunku!" woła, o pomoc prosi,
A nurt go bystréj rzeki unosi.
Wtém rybak młody, ochoczy,
Na ratunek w wodę skoczy;
„Dajże mi rękę"—rzecze skąpcowi.
„Nic dać nie mogę"—skąpiec odpowie,
Na piękne tonie.
Nałóg jest zgubny nawet przy zgonie.

Rady Franklina.

Oprócz przezorności, winniśmy jeszcze starać się o stałość, odwagę i starowność; trzeba własnemi oczyma doglądać swoich spraw, i nie spuszczać się zbytecznie na drugich. Nie widziałem nigdy, mówi B. Franklin, aby często przesadzane drzewo, albo kilka razy na rok przeprowadzająca się rodzina, miała się tak dobrze jak ta, która miejsca swego nie zmienia. Trzy razy się przeprowadzić, jest to samo, co raz pogorzeć. Pilnuj twojego rzemiosła, a rzemiosło pilnować cię będzie. Jeśli chcesz co załatwić, idź sam; jeśli zaś chcesz, aby się nic nie zrobiło, pośléj kogo drugiego. Kto się chce z pługa czegoś dorobić, niechaj sam za nim chodzi. Pańskie oko konia tuczy. Przez opieszałość więcéj szkodujemy, niż przez nieumiejętność.

Własne staranie jest zawsze pożyteczne. Małe zaniedbanie może sprowadzić wielkie złe. Dla braku jednego gwoździa, utracisz podkowę; dla braku podkowy, utracisz konia.

Moi przyjaciele, dosyć już tego o pracy i dbałości, jaką każdy winien mieć o swoje sprawy; lecz do tego trzeba jeszcze przydać wstrzemięźliwość, jeśli chcemy być pewniejsi dobrego skutku naszéj pracy.

Póki możecie, oszczędzajcie na stare lata i na nieprzewidziane potrzeby. Poranne słońce nie świeci cały dzień. Zysk jest niepewny i krótko trwały, a wydatki ustawiczne. Tak więc lepiéj kłaść się spać bez wieczerzy, niż wstawać z długami. Zarabiaj jak tylko możesz najwięcéj, a zarobiwszy umiej chować; oto jest ów wielki sekret, który zamieni ołów w złoto; a jak skoro posiędziesz ten sekret, niezawodnie nie będziesz już wyrzekał, ani na ciężkie czasy, ani na trudność zapłacenia podatków.

Ta nauka, moi przyjaciele, jest nauką roztropności i rozumu. Nie spuszczajcie się jednak zanadto, ani na waszą pracę, ani na wstrzemięźliwość, ani na oszczędność. Są to rzeczy wyśmienite, ale wam się na nic nie przydadzą bez błogosławieństwa Bożego, proście więc z pokorą Boga o błogosławieństwo. Nie odmawiajcie swéj pomocy potrzebującym.

Każda sprawa ma dwie strony.

Pan Prawnicki, zacny i doświadczony człowiek, żadnéj sprawy, chociażby się na pierwsze wejrzenie zdawała najoczywistszą, ani potępiał, ani chwalił. W ogólności, zawsze skłonniejszym był do pochwały, niżeli do nagany; pomimo to, najszlachetniejsze sprawy nie zdołały wzbudzić w nim uwielbienia, a gdy mu przypominano, że w młodym wieku każda cnota, każda zbrodnia zapalała w nim uniesienie, odpowiadał, że w młodości brakło mu doświadczenia. Bo dlaczegóż my w starości z obojętnością poglądamy na to, co nas w młodości w podziwienie wprawiało? oto, żeśmy na podobne rzeczy przez drobnowidz doświadczenia nie patrzyli, a takiem narzędziem obdarza nas dopiero starość.

Takie było zdanie starego Prawnickiego, ale syn jego Paweł inaczéj wszystko widział. Młodzieniec pełen życia i czucia, gorzał zemstą lub pogardą, albo uwielbieniem, ile razy się mu zdawało, że zbrodnię albo cnotę widzi, nie myśląc o tém, że do takiego wyroku potrzeba koniecznie zupełnego zgłębienia rzeczy i rozsądku wolnego od namiętności. Dlatego też zwyczajnym jego wyrokiem było słowo: *bosko, wspaniale, szlachetnie*, albo: *podło, brudno, nikczemnie*, i każdego, który w takich zdarzeniach miał więcéj zastanowienia, i podobnego, jak on, uniesienia nie okazywał, poczytywał za człowieka zlodowaciałego serca, w którem uczucie moralne albo umarło, albo nigdy nie gościło. Słowem: on na ziemi tylko djabłów i aniołów widział. Daremnie ojciec mu powtarzał, że ani djabłów, ani

aniołów niema między ludźmi, ale wszyscy w ogóle są dobrymi, jeśli ich tylko namiętności z drogi obowiązku nie zwodzą.

Stary Prawnicki niezmordowanie nad tem pracował, aby szał uniesień syna swego na drogę rozsądku zwrócić, dlatego przy każdéj sposobności starał się go przekonać, że każda rzecz ma dwie strony, i aby jakąkolwiek sprawę ocenić, potrzeba ją koniecznie bez przesądu i uniesienia, z zimną rozwagą z obydwóch stron obejrzeć, inaczéj sąd nasz będzie zawsze mylnym, czego się potem nietylko przed ludźmi, ale i sami przed sobą wstydzić musimy. Lecz mu zwykle zawsze przekonywających przykładów brakowało, bo serce ludzkie prawie w każdéj sprawie zachowuje sobie jakąś tajemnicę, którąby niekiedy samo przed sobą ukryć chciało.

Pewnego dnia pan Kowalski bogaty fabrykant wyrobów bawełnianych, zaprosił pana Prawnickiego i syna jego na obiad; po obiedzie goście poszli na przechadzkę do ogrodu. Prawnicki i Kowalski zapalili fajki; a młody Paweł przypatrywał się pięknym obrazom rozwieszonym na ścianach pokoju. Wtem wszedł jeden ze służących, i oznajmił panu Kowalskiemu, że panna Justyna przyszła. „Niech zaczeka do wieczora"—odpowiedział fabrykant—albo niech jutro przyjdzie;" lecz natrętna Justyna przyszła drugi raz z prośbą do fabrykanta, że ją okoliczności zmuszają do tego, aby się widziała: uśmiechnął się Kowalski, jak gdyby z przymusu, i rzekł: „chce pieniędzy." Wtem Prawnicki zapytał fabrykanta: „Cóż to za panna Justyna?"— Uboga, pracowita dziewczyna, która do mojéj fabryki dostarcza wyrobów.—To jéj każ przyjść, odpowiedział Prawnicki, niech ona dla nas jednéj godziny nie traci.

— Jeśli pozwolisz, to dobrze—odrzekł fabrykant—w rzeczy saméj, dla téj ubogiéj dziewczyny każda godzina jest drogą.

Justyna weszła, i przyniosła w koszyku rozmaitą dzierganinę.

— Jak widzę—rzekł Kowalski — to znów świeży towar.

Justyna pokłoniwszy się, rzekła: „tak jest" i wydobyła z koszyka swój wyrób. Fabrykant oglądał każdą sztukę, pytał się o cenę, ale każda zdawała się mu być bardzo drogą. Justyna stojąc smutna, nieraz głęboko westchnęła. Podług jéj rachunku cała wartość wynosiła dwadzieścia rubli, ale fabrykant ocenił ją na dziesięć. Justyna ze łzami w oczach prosiła go, aby jéj tym razem wartości, chociażby tylko z miłosierdzia, nie zmniejszał. „Pan wiesz, mówiła, że mam starego ojca i dwoje drobnego rodzeństwa, że z tego zarobku wszystko czworo żyjemy." Pawła na te słowa dreszcz przeszedł, lecz Kowalski bynajmniéj prośbą Justyny niewzruszony, odpowiedział: „wiem o tem, dobre dziecko, że chwalebnie postępujesz, ale w handlu na to względu nie ma." Na twarzy Pawła malowała się serdeczna boleść z gniewem pomieszana, i rzucił wzrokiem wzgardy na nielitościwego fabrykanta. Kowalski jak gdyby posąg z twardego kamienia, na wszystko nieczuły, zdawał się tego nie uważać, i myślał tylko, jakby najtaniéj nabyć wyroby od ubogiéj Justyny. Daremnie żałośnie i tkliwym głosem przekładała fabrykantowi, że właśnie teraz, za upłyniony kwartał musi ośm rubli za komorne zapłacić; więc mi tylko, rzekła, dwa ruble zostanie, a to na życie nie wystarczy do czasu, gdy będę mogła nową przynieść robotę."

— Przecież ci jeszcze zostanie, odpowiedział Kowalski, i to musi wystarczyć; nakoniec oświadczam ci moja panno, że więcéj nie dam, chcesz bierz, a nie, to sobie zabieraj twój towar.

Wtedy Paweł zapalił się gniewem i miał serdeczną chęć porwać i wyrzucić za okno starego fabrykanta, u którego w przyjemnem towarzystwie zjadł smaczny obiad; lecz wzrok ojca wstrzymał jego uniesienie.

Justyna milczała, a jakby się namyślając, położyła z żalem swój wyrób na stole i ukradkiem otarła łzy, które się z jéj oczów potoczyły. Fabrykant nie zważając na to, zapłacił dziesięć rubli. Justyna pokłoniwszy się, wyszła. Nieużyty fabrykant nałożył sobie fajkę, którą był już wypalił, i jak gdyby nic nie zaszło, rozpoczętą mowę daléj prowadził. Tymczasem Paweł wysunął się z pokoju, zbiegł szybko po schodach za Justyną, i zawołał: „Panno Justyno! Pan Kowalski zwróciwszy uwagę na ojca Wacpanny i dwoje rodzeństwa, które żywisz, posyła ci trzy dukaty."—„Czy to być może!— rzekła Justyna w radosnem podziwieniu—niech mu Bóg nagrodzi: pierwszy to raz dotknęło go moje nieszczęśliwe położenie, zawsze mi połowę, a czasem więcéj jak połowę zarobku urywał, niech mu Bóg nagrodzi, i WCPanu, boś pewnie za mną dobre słowo przemówił."—Pokłoniwszy się nisko Pawłowi, pobiegła wesoło do domu.

Paweł spiesznie wrócił w przekonaniu, że dopełnił świętego obowiązku.

Jak tylko Prawnicki wyszedł od fabrykanta, Paweł oburzony zaczął z uniesieniem mówić przeciwko Kowalskiemu, przypisywał mu wszystkie wady ludzkie, i nadawał stosowne nazwiska, słowem: w Kowalskim widział wcielonego złego ducha.

— Ej, uspokój się, rzekł ojciec, każda sprawa ma dwie strony. To prawda, że się zdaje, jakoby Kowalski za twardo postąpił z tą dziewczyną, ale ja go znam oddawna jako uczciwego i uczynnego człowieka, on zapewne miał do tego słuszne powody.

— Słuszne powody?—odrzekł Paweł, tak jawne postępowanie nie da się pod żadnym względem usprawiedliwić. Prawnicki milczał, bo w rzeczy samej nie miał nic, coby na usprawiedliwienie fabrykanta mógł przytoczyć, a Paweł utwierdził się w tem przekonaniu, że ojciec podziela jego zdanie.

W pół roku potem Kowalski zaprosił Prawnickiego i syna jego na obiad weselny, który wyprawiał jednemu młodemu pomocnikowi swemu, co już wiele lat w jego fabryce z wielką zdatnością i pilnością pracował, a teraz całą fabryką zawiadywał.

Paweł wzbraniał się iść na obiad do znienawidzonego fabrykanta, i tylko na żądanie ojca poszedł; lecz twarz jego między weselnikami była ponura i widać było na niéj jawnie jakieś niezadowolenie. Sala była pięknie kwiatami przystrojona, świece jarzące ją oświetlały, służba bogato przybrana roznosiła godownikom łakocie i wina; stoły obficie zastawione, wszędzie gościnność gospodarza postrzegać się dawała.

Paweł przypatrując się temu, myślał sobie: pyszny łakomca, który ubóstwu pot wyciska dla zbogacenia się, w jednym dniu traci tysiące, aby dumę swoję nasycił. Zdawało mu się, jakoby jeszcze na lśniących srebrach widział nieosuszone łzy biednéj Justyny.

Pan młody, człowiek przystojny, grzeczny, przyzwoicie ubrany stał obok krzesła, które dla niego było przeznaczone. Wtem strojne druchny udały się po pannę młodą. Paweł nie mógł wyjść z podziwienia, gdy ujrzał piękną Justynę. Fabrykant pospieszył do drzwi na jéj przyjęcie, Justyna padła do jego kolan, strumienie łez płynęły po jéj kwitnących licach, jéj piękniejsze nad koral usta daremnie siliły się na wypowiedzenie wdzięczności, którą jéj serce przepełnione było. „Co robisz?“ dobre dziecko, zawołał fabrykant, podnosząc ją z ojcowskiem uczuciem: ujął ją pod rękę, i odprowadził do pana młodego. Wkrótce potem udano się do kościoła parafialnego. Pleban przystąpił do dopełnienia obrzędu religijnego, Justyna nie mogąc się od płaczu utulić, ze łkaniem wymawiała słowa przysięgi za kapłanem, ale i staremu fabrykantowi wykradły się łzy z oczu.

Paweł zachwycony tym rozczulającym widokiem uczuł w sobie serdeczną chęć pojednania się z Kowalskim, a przysunąwszy się do swego ojca, zapytał: Czy ojciec nie może rozwiązać mi téj zagadki? Nie, mój synu, odpowiedział Prawnicki. Sam tylko Kowalski potrafi ci to wszystko wyjaśnić, ja się go zapytam.

Gdy wrócono z kościoła, i powinszowania państwu młodym złożono, Kowalski rozpoczął taniec z panną młodą, potem Prawnicki odwołał go na stronę. Paweł stał i słuchał z natężoną uwagą. „Mój przyjacielu, rzekł Prawnicki, naucz mnie, jak to pogodzić: pół roku temu widziałem twoję obojętność na potrzeby téj dziewczyny, a dziś zdaje się, jakby była twoją rodzoną córką.“

— Wtedy—odrzekł z uśmiechem Kowalski, zapewne twój syn, który teraz tak pilnie mego usprawiedliwienia słucha, za nieużytego człowieka mię poczytał, gdy tymczasem ja go teraz o nielitość obwiniam.

— Kogo, mnie? ozwał się z zająknieniem Paweł.

— Tak jest, że Justyna była dziewczyną dobrą, która swoją pracą żywiła starego ojca i dwoje rodzeństwa, o tem dawno wiedziałem, bo już przez pięć lat do mojéj fabryki dostarcza najpiękniejszéj dzierganiny; alem też i o tem wiedział, że jéj ojciec był pijakiem, i wszystko, co ona we dnie i w nocy zapracowała, on w szynkowni przepijał, a ona, dobra córka, nie śmiała ojcu ostatniego grosza odmówić; to mnie przekonało, że ona, pomimo ciężkiéj pracy i znacznego zarobku, nigdy z nędzy nie wyjdzie. Z tego powodu postanowiłem, bez względu na jéj pracę i piękną robotę, tylko tyle jéj płacić, aby ta uboga rodzina z jéj pracy żyć mogła, i dlatego nieraz ani połowy nie zapłaciłem tego, co robota wartą była. Ja sam niemało cierpiałem nad tem, kiedy ona wziąwszy mały zarobek, z domu mego ze łzami odchodziła, ale się pocieszałem, kiedym widział, że jéj mająteczek rośnie;

bo zawsze po jéj odejściu kazałem całą robotę przez znawców, między któremi bywał jéj teraźniejszy mąż, rzetelnie ocenić, a to, czegom jéj nie dodał, składałem osobno i byłem jéj tajnym podskarbim, a gdy się już cokolwiek uzbierało, zacząłem za jéj pieniądze kupować materyały fabryczne, i tak powoli majątek Justyny doszedł do tysiąca rubli, któreby jéj ojciec niezawodnie był przepił; ale Bogu dzięki, że już umarł, syn twój się mu przysłużył.

— Ja?—zawołał zmięszany Paweł.

— Tak jest—odpowiedział Kowalski. W parę dni potem, jakeście u mnie byli, przybiegła do mnie Justyna z płaczem, oznajmując mi śmierć ojca swego. „Ach! ja nieszczeéliwa, mówiła rozpaczającym głosem“ nie miałam tyle mocy, abym odmówiła ojcu memu, onby był jeszcze żył! Jak to moje dziecko?— Jakeś mi pan dziesięć rubli za robotę zapłacił, i ja w kłopocie do domu wracałam, wybiegł za mną młody panicz, któregom tu w pokoju widziała, i dał mi trzy dukaty od pana.“—„Odemnie? zawołałem z podziwieniem. Tak jest, rzekła, powiedział mi, że pan tknięty litością, nad mojem ubóstwem, posyłasz mi trzy dukaty. Odebrałam je z wdzięcznością i pobiegłam do domu, i w tem uradowaniu na moje i ojca mego nieszczęście, pokazałam mu wszystkie pieniądze, których zaraz połowę wziął, zapewniając mnie, że mu to na kwartał wystarczy, bo już bardzo dawno nie był w szynku. Od tego czasu jużem go w domu nie widziała, wszystkie moje prośby i upominania były daremne. Przez dwie nocy nie był w domu, wiek jego osłabiony nie mógł znieść zbytku trunku, umarł w szynkowni.— Onby jeszcze żył!“

Paweł stał upokorzony między dwoma starcami; w ich rozsądku i wyrachowaniu widział jak we zwierciadle swoję lekkomyślność, któréj się sam przed sobą wstydzić musiał.

— Jam się zaraz domyślił, mówił Kowalski, kto to na mój rachunek dał trzy dukaty, widziałem i to, że Paweł ze wzgardą na mnie pogląda, ale mię to nie obrażało, bo sumienie moje było ze mną, i postrzegłem, jak spiesznie za Justyną wybiegł z pokoju. Radbym, abym się z tego zdarzenia nauczył, że do uczynienia dobrodziejstwa, potrzeba nietylko serca ale i głowy: bo lubo dobrodziejstwo jest klejnotem, który się w sercu rodzi, ale rozum musi go oprawić, aby nabrał swojéj prawdziwéj wartości; inaczéj może się stać szkodliwym.

Pocieszałem Justynę, która stratę ojca swego rzewnemi łzami opłakiwała: ale w sercu życzyłem jéj szczęścia.

Przed kilką tygodniami zawiadowca mojéj fabryki, któregoście widzieli, oświadczył mi, że się żenić zamyśla; pochwaliwszy jego zamiar, dodałem: Radzę ci, abyś Justynę za małżonkę pojął; znasz ją dobrze, jest piękna, dobra i pracowita, przytem ma i posag. Zastanowił się, jak gdybym jaką niedorzeczność powiedział, albo z niego żartował, i rzekł: zkądby ta biedna dziewczyna mogła mieć posag, kiedy ona ledwie siebie, ojca i dwoje rodzeństwa z pracy swojéj wyżywiła? Wtenczas odkryłem mu całą tajemnicę. Lecz nierównie więcéj zdziwioną była Justyna, gdym jéj na wiano tysiąc rs. wyliczył i rzekłem: „Dobre dziecko! tyś mię pewnie nienawidziła i możeś nieraz w goryczy duszy twojéj przeklinała, wtenczas, kiedym ja najlepiéj o tobie myślał; teraz nagródź mi to i kochaj jak ojca; moje twarde postępowanie z tobą, nieraz mię drogo kosztowało, ale dzięki Bogu, który to wszystko tobie na pożytek, a mnie na pociechę obrócił.“ Justyna przepełniona była wdzięcznością i radością; zdawało się, że tego szczęścia nie zniesie, musiałem ją słowami pokrzepić, a teraz mam tę pociechę, że się będę patrzył na szczęście tych dwojga młodych ludzi.

Paweł nie mógł się od łez wstrzymać, chciał starca w rękę pocałować, ale ten usunąwszy rękę, przyjął go w serdeczne objęcia.

Pan Prawnicki cieszył się w duchu, że syn jego tak piękną otrzymał naukę, i słusznie spodziewał się, że Paweł odtąd przezorniejszym i ostrożniejszym będzie w sądzeniu wypadków i ludzi.

Krótkie wyobrażenie
o podziale czasu
pod względem historji.

Opowiadając historję świata, pojedynczych krajów, ludzi znakomitych lub wypadków, które wywarły wpływ na społeczeństwo, nawet pomniejszych zdarzeń, koniecznem jest wiedzieć, kiedy zdarzenie miało miejsce, kiedy żył człowiek znakomity, którego historję opowiadamy, i t. d. Należało więc oznaczyć i przyjąć najważniejsze wypadki świata, niejako za miarę czasu i od nich liczyć lata w historji.

Przykład bliżéj to wyjaśni.

Przyjście Chrystusa Pana na ziemię dla odkupienia rodu ludzkiego, jest po stworzeniu świata największym wypadkiem.

Historja nowoczesna przyjęła więc słusznie Narodzenie Chrystusa Pana jako chwilę stanowczą, jako punkt, od którego lata liczy; wypadki też wszelkie po nar. Chr. w świecie zaszłe, porządkuje historja latami bieżącemi, zacząwszy od roku 1go; lat tych jak wiadomo, upłynęło do naszych czasów 1855.

Wypadki przed nar. Chr. Pana oznaczają się rokiem, dodając: przed narodzeniem Chrystusa. Sposób ten liczenia zowie się erą chrześciańską.

Wiemy że 365 dni stanowią rok jeden, zaś 100 lat zowią wiekiem lub stuleciem. Od 1go roku po nar. Chr. do skończonego 100 roku, upłynął 1szy wiek po nar. Chr.; od roku 101 do 200go, był drugi wiek, i tak dalej do naszych czasów.

Rok więc 1856 w którym żyjemy, jest w drugiéj połowie XIXgo wieku po nar. Chr.

Historya opowiadając zdarzenia, które lub że dłużéj nad jeden rok trwały, lub też, że stanowczym rokiem oznaczone być nie mogły, używa wyrażenia ogółowego: w tym lub owym wieku; np. mówimy: wojny krzyżowemi zwane, o zdobycie Ziemi świętéj, prowadzone były w wieku XI i XII.

Wypadki zaś, o których wiemy, że w jednym lub pewnym roku zaszły, oznaczamy wyraźnie rokiem ery chrześciańskiéj; mówimy więc: Kolumb odkrył Amerykę 1492 r.

Smutne skutki nieporządku.

—

Byłem majstrem szewckim, miałem piękny sklep na Podwalu, roboty podostatkiem, duże gospodarstwo, ładną bieliznę, garderobę i 225 rubli w Kassie Oszczędności. Pracowałem od rana do wieczora, pomimo to jednak przyszedłem do nędzy, i niech was to nie dziwi moi drodzy. Biedna żona moja (niech w Bogu spoczywa) nie miała daru porządku, i to nas zgubiło. Rano gdym wstawał do roboty, musiałem zawsze szukać zapałek. Małgorzata nigdy ich na swojem nie położyła miejscu; szukając po ciemku, zmaczałem nieraz rękę w garnku z wczorajszym rosołem, który najczęściéj zostawiała na warsztacie, wpośród skór, podeszew i klajstru; nie wiedząc o tem, plamiłem materje przykrojone na trzewiki, a ztąd znaczne ponosiłem straty. Na śniadanie mleko najczęściéj się zwarzyło, bo rondel był nieczysty i trzeba było kupić inne; jedzenie zgotowane w brudnym garnku i na nieumytym podane talerzu tak było niesmaczne, że większa jego połowa zazwyczaj zostawała niezjedzoną, szło więc w pomyje i marnowało się. Naczynia i statki nieustawione porządnie, tłukły się i wyrzucały na śmiecie; słowem, wydawało się dużo, a żyliśmy bardzo mizernie. Panie kupujące u mnie, porzuciły wkrótce nasz sklep, gdyż odbierały robotę z materyi poplamionéj, a obszycie brudziło im pończochy. Zadłużyłem się już za skóry i materje w sklepach, w domu bieda, roboty brak, a tu zima się zbliża.

Wsparty łokciami na warsztacie, dumałem zasmucony, przeklinając w duszy prześladujące mnie nieszczęście, choć byłem zdatnym i pracowitym rzemieślnikiem. Chciałem już bluźnić przeciw Opatrzności, gdy wtem wyrwało mnie z zamyślenia wejście i powitanie sąsiada, który miał sklep obok w drugim domu.

— Słuchaj Szczepanie, rzekł on, przychodzę dać ci korzystną robotę: dostałem pilny obstalunek na 100 par trzewików prunelowych i jedwabnych. Wiem, że robisz prędko i dobrze, chciałbym ci zrobić przysługę, odstępując połowę obstalunku; za robotę zapłacą zaraz, zdaje się więc, że to niezły interes, tylko żebyś mi nie zrobił zawodu.

— A broń Boże! dziękuję ci mój poczciwy Tomaszu, zobaczysz, że wszystko zrobię sumiennie i na termin ukończę.

— O! wiem to dobrze, ale widzisz, boję się, aby twoja żona nie popsuła roboty, chciałbym więc, żeby nie obszywała—lepiéj nająć szwaczkę... Dobiłem targu, chociaż przykrym mi był ostatni warunek;—mój sąsiad odszedł, jeszcze raz powtarzając: „pamiętaj Szczepanie, żeby robota była czystą, bo inaczéj nie przyjmę.“— Małgorzatę dotknęło wprawdzie to *uprzedzenie*, jak nazywała, pana Tomasza, jednakże dałem słowo, trzeba było dotrzymać. Przyjąłem dwóch czeladników i obszywaczkę; za odebraną z Kassy Oszczędności resztę naszego kapitaliku, kupiłem zaraz skór i materyi — wziąłem się zaraz szczerze do roboty, kilka nawet nocy niedospałem i nareszcie obstalunek był gotów zupełnie. Nazajutrz miałem go oddać: zmęczony tak pospieszną pracą i bezsennością położyłem się wcześnie, ustawiwszy trzewiki na komodzie.

Rano wstaję zadowolony, że mogę słowa dotrzymać i że dostanę odrazu piękny pieniądz do ręki. Ubierając się, przychodzę, aby jeszcze raz obejrzéć robotę... O Boże! Boże!... trzewiki pływają w oleju!... zaledwie kilka par ocalało, reszta na nic zniszczona. W rozpaczy biegnę do łóżka, gdzie żona spała jeszcze, porwałem ją gwałtownie za rękę, wołając: Oléj! zkąd się wziął ten olej?

— Czego chcesz? — odpowiedziała rozespana, przewracając się na drugi bok.

— Trzewiki zlane olejem!... trzewiki...

— Co? trzewiki! — krzyknęła, zrywając się na równe nogi. — Boże wszechmogący! Wczoraj nalawszy lampkę, postawiłam olej na komodzie, i musiał się rozlać!...

— Tak! musiał się rozlać; gubisz, niszczysz mnie kobieto przez twe niedbalstwo i nieporządek!...

— Ależ mój kochany, jeśli ja rozlałam olej, toś ty więcéj winien, żeś na nim położył trzewiki.

— A czyż ja wiedziałem?

— Trzeba było patrzéć!

I tak kłóciliśmy się, jedno drugiemu robiąc wyrzuty, gdy wszedł pan Tomasz. Zobaczywszy trzewiki porzucone w nieładzie i zatłuszczone, zaczął okropnie wyrzekać, łająć i grozić, że zapozwie nas o zawód, jaki mu robimy. Wśród takiego hałasu i zamieszania wbiega właścicielka domu, cała zdyszana, mówiąc: Mości panie! dość już tych krzyków i nieładu — proszę wyprowadzić się od kwartału — zniszczyliście mieszkanie nieporządkiem i brudami; dziękuję za takich lokatorów i raz jeszcze powtarzam: proszę się wyprowadzić!

Tak tedy pozostałem naraz bez grosza i przytułku; sprzętów nawet trudno było sprzedać, tak były zniszczone przez nieporządek. Pogłoska o moim ostatnim wypadku prędko się rozniosła i odstręczyła resztę moich kontmanów. Zeszedłem na czeladnika, ale i tak jeszcze każdy obawiał się dać mi roboty, abym jéj nie popsuł. Biedna moja żona zachorowała, nie miałem czém jéj ratować; musiałem oddać do szpitala, i tam umarła. Odtąd nie mogłem już powstać na nogi; ciągle jestem w niedostatku i zaledwie na chléb zarabiam, naprawiając stare obuwie; gdy tymczasem wielu innych żyją wygodnie, choć nie są tak dobrymi, jak ja robotnikami; a wszystko to stało się dlatego, że nie było w naszym domu porządku, który jest prawdziwém źródłem dobrego bytu, a nawet i dostatku.

Rozmowa przy kominku.

— Dobry wieczór, panie Józefie!

— Dobry wieczór, a zkądto w tych stronach?

— Wracam do domu z Solca od brata, a zobaczywszy światło przez okna, wstąpiłem odwiedzić pana, a zarazem poradzić się w pewnym interesie.

— Z miłą chęcią, mój Pawle, ale wprzód ogrzéj się przy kominku, bo mróz nie żartuje, zdaje się, że bierze mocniejszy?

— Zimniéj jak było, bo mroźny wiatr powstał.

— Ale ty za lekko ubrany.

— Mam watowany paletot, ale go wiatr przewiewa.

— Bo te wszystkie wasze nowomodne ubrania nie zastąpią dawnych płaszczy. — Płaszcz jest właśnie ubraniem dla mieszkańców naszego nieba, zasłoni od deszczu, ogrzeje w zimie, a choć wietrzno, dobrze chroni całego człowieka.

— W mieście dobry surdut watowany, wystarcza i na mocne mrozy.

— Nie, Pawle, te kuse algierki, surduty, nie na nasze zimy, co to mroźne i wietrzne. Ubranie powinno być długie, dostatnie, a tylko u góry wązkie, aby między nami i wełnianą suknią, środkowała warstwa powietrza, ogrzana przez ciało, a którąby wiatr nie tak łatwo wypędził, czyli, jak mówimy, przewiał. Bo tu powietrze ma główne znaczenie. Wiesz, że niektóre ciała z łatwością ciepło przepuszczają, jak naprzykład metale, bo rozpalonego choć w końcu żelaza rękami nie weźmiesz, przeciwnie inne ciała, jak wełna, słoma, piasek, szkło, drzewo, węgiel, bardzo trudno przez siebie przesyłają ciepło. Rozżarzony z boku węgiel, zapaloną zapałkę, można w ręku trzymać, nie czując prawie żadnego gorąca. Do takichto złych przewodników ciepła, należy i powietrze, nad ziemią się unoszące. Z téj to przyczyny izby są cieplejsze, gdy mają podwójne okna, podwójne drzwi. Jeżeli więc i nasze ciało na dworze, otoczysz warstwą powietrza, niedającą się łatwo usunąć, wtedy ciepło nie tak prędko z nas uchodzi.

— A dlaczegóż futra mają być cieplejsze od wełnianych sukni?

— Dla téjże saméj przyczyny, bo między ich gęstym włosem, ukryte powietrze ogrzane od ciała, bardzo trudno wypędzić się daje. Mądrze to na świecie Bóg urządził, czyniąc powietrze gazem, tak źle ciepło przepuszczającym, inaczéj ludzie, zwierzęta, ginęliby w czasie zimy; ale w swéj mądrości dał zwierzętom skórę, z trudnością ciepło przesyłającą, pokrył ją jeszcze gęstym włosem, a człowiekowi dał rozum, aby patrząc na jego twory, umiał według nich swój byt zabezpieczać. Dla wszystkich zaś roślin, a nawet i dla wielu zwierząt, zsyła jeszcze obficie śnieg, aby się miały na zimę gdzie chronić.

— Biedne to musi być schronienie w śniegu.

— Nie ubolewaj, nic nie uszło przezorności Boskiéj. Śnieg, który powstaje w spokojném i mroźném powietrzu, ze skrystalizowanéj pary wodnéj, spadając na ziemię w gwiazdzistych swych polotkach, zawiera wiele powietrza, a nadto płatki śniegowe na polach tworzą nastroszoną massę, w któréj się wiele zamyka powietrza, i dlatego warstwa śniegu utrudnia wychodzenie ciepła z ziemi. Powiedziano: „Bóg zsyła śnieg, jako kłaczki welny,“ i rzeczywiście pod tą grubą warstwą, co ją słusznie nasi gospodarze kożuchem zowią, nasiona zbóż i krzewy, dobrze się przechowują do wiosny.

Tak samo dzieje się z wodą; jak rzeki zmarzną, a śnieg je popruszy, ryby po stawach i rzekach swobodnie zimują w wodzie, trochę chłodniejszéj, ale niezmarzniętéj. Gdzie się obrócić, a trochę zastanowić, wszędzie widać przezorną rękę Opatrzności. Dziwne to napozór zjawisko, że lód choć twardy, jest lżejszy od wody, jakże wielkiem jest dobrodziejstwem! tylko pomyśl, coby to było, gdyby lód był lepszym przewodnikiem ciepła, a zarazem cięższym od wody?

— Zapewne na dnie rzek byłyby masy lodu?

— A tak, przez zimę rzeki, stawy, jeziora zmieniłyby się w zbitą masę lodu, któraby przez bardzo długi czas stopnieć nie mogła, jako oddzielona od cieplejszego powietrza grubą warstwą wody, na wierzchu stojącéj. A w cóżby się obróciły ryby i cały świat istot podwodnych?

— Piękne to wszystko na świecie, ale gdyby tego śniegu trochę mniéj padało, toby na tém, może ani ludzie, ani ziemia nie szkodowała, a zwierzęta i ptastwo w zimie takiéj, do żeru dogrzebaćby się mogły.

— Mój kochany, nie nam sądzić o porządku świata. Tobie się tak zdaje, bo patrzysz jak człowiek blisko sięgający wzrokiem, ale gdybyś wiedział, co ludzie doświadczeńsi i uczeni, w tych rzeczach mówią i piszą, przekonałbyś się, że ta obfita ilość śniegu, czasem dla nas przykra, ma swe ważniejsze przeznaczenie. Ze śniegu nie wiele jest wody, a źródła, jeziora, rzeki i sama ziemia, potrzebują wiele wody; gdyby więc potrzebna w naturze ilość wody spadała tylko w stanie deszczu, wiele obsianych pól zostałoby zniszczonych, lub w jeziora zmienionych; przeciwnie massy śniegu zebrane po lasach, wąwozach lub górach, wolno na wiosnę topniejąc, spokojnie sobie spływają do strumieni zasilających naszą Wisłę, czyniąc ją spławniejszą, lub powolnie nasycają ziemię wilgocią, bez czego byłaby na wiosnę posucha. Gdyby inaczéj było, te spokojne rzeczki często zamieniałyby się w gwałtowne potoki, siejące zniszczenie w okolicznych włościach, jak to czyni Wisła na Śty Jakób, skoro od letnich upałów topnieją szybko śniegi, leżące w górach karpackich za Krakowem.

— Ale ja się rozgadałem, a tobie może spieszno?

— Toć jeszcze nie późno, dziś święto, a człowiek lepiéj jak na gospodzie, tu czasu używa, słuchając i ucząc się tych rzeczy o mądrości świata; dlatego coś mnie tak ciągnie do pana, i gdyby się pan Józef nie obraził, tobym i częściéj do niego zachodził.

— Owszem, przychodź, jak będę miał czas i ochotę, pogadamy sobie. No, ale chciałeś się o coś zaradzić.

— To interes familijny... (który, jako czytelników naszych nieobchodzący, pomijamy).

Przypowieści.

Jedni własne swoje rozdają, a bogatszymi zostają. *Prz.* 12.

A drudzy cudze wydzierają, a zawdy ubogiemi są. *Prz.* 12.

Zle się dzieje z tym, który ustawicznie w złem trwa, a jałmużny nie daje. *Eccl.* 11.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 1 (13) lutego 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*